

KAZIMIERZ BOGUCKI ur. 1897; Skarżysko-Kamienna

Tytuł fragmentu relacji	Studentka z getta
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, Warszawa, Janka Czaplińska, Drabent, Józef Kotowski, Bogucki

Studentka z getta

W międzyczasie z Warszawy przywiozłem jeszcze jedną osobę pochodzenia żydowskiego, studentkę architektury, która uciekła konwojowi w drodze do getta warszawskiego. Grupa przeszła, a ona została sama. Do mieszkania bała się wrócić, bo [Niemcy] mieli spis lokatorów tego domu.

W pierwszych tygodniach, kiedy się porozumieliśmy z Markiem, ten mając do mnie zaufanie i wierząc, że ja będę mógł jego prośbę spełnić, poprosił, by uratować jego kuzynkę, która się przechowuje. Postarałem o widzenie z tą niewiastą i przyrzekłem jej, że przywiozę ją do Lublina.

Ona wprawdzie mogła wyglądać na Żydówkę, ale biegle znała język niemiecki. Szybko uknułem plan, że przywiozę ją do Lublina, pobędzie u nas w mieszkaniu, dopóki nie wymyślę jakiejś posady, żeby jej niemiecki mógł się przydać.

Trzeba było ją przewieźć tylko wozem niemieckim, bo wszystkie cywilne furmanki były starannie przez Niemców na różnych skrzyżowaniach sprawdzane, legitymowane. Zdarzały się wypadki. Wysadzali pasażerów i sprawdzali ich przeszłość. Wśród [Niemców] są Ślązacy. Ale jak odróżnić Ślązaka? Pójść się pytać? Nie! Parking wozów wojskowych mieścił się na placu dworcowym dawniejszej kolei warszawsko-wiedeńskiej. Z walizeczką, z płaszczem na ramieniu, jakoby ten, który przybył pociągiem i rozgląda się za znajomym, względnie - środkiem komunikacji, przysłuchiwałem się szwargotowi kierowców niemieckich. Na drugi czy trzeci dzień udało mi się usłyszeć: „O, pieruna!”. Myślę: „Jestem w domu!”. Podchodzę do tego wozu: „Panie, słyszałem pańskie «pieruna» to taką mi przyjemność zrobiło. Myślę - muszę podejść do tego pana i poczęstować go dobrym papierosem. Pan palący?”. „Jo, jo palę, przeca”. Mało mu się na szyję nie rzuciłem. „Jak pan trafił do wojska?”. „Ano, panie przykazali i koniec”. „Ma pan rację, trzeba”. „Ano tak, tak to jest na tym świecie”.

Odszedłem na chwilę, żeby nie narzucać się od razu. „Taki pan sympatyczny. Myślę, że pan Polakowi, jako krajanowi, pomoże”. „No, co ja mam zrobić?”. „Proszę pana, ja do Lublina muszę się dostać. Nie wiem, czy taki wojskowy wóz może wziąć? Pociągi chodzą nieregularnie, a taki prywatny kosztuje drogo. Ja trochę znam niemiecki, w razie czego będę się tłumaczył. Ja mam

dobrze papiery, bo pracuję w energetyce. Jestem potrzebny Niemcom, tak samo jak wy tutaj jako kierowca. Jakby tak chciał mnie zabrać ze sobą”. Nie odpowiedział. Pokiwał głową, że ostatecznie nie jest taka rzecz nie do zrobienia. „Długo pan tu będzie?”. „A bo ja wiem?”. „A mogę przyjść jutro dowiedzieć się, czy pan jest jeszcze?”. Uśmiechnął się: „Jak mnie nie będzie, to pan mnie nie zobaczy przeca!”. „No tak, głupstwo powiedziałem. Skłonny byłby pan mnie zabrać? Tak przyjemnie się z panem rozmawia!”. „Przyjdź pan jutro, bo dziś nie mogę [niezrozumiałe]”. Przeszedłem [następnego dnia]. Stoi. „Jedziem na wschód, panie. Czy to Lublin?”. „Właśnie! Bez [przez] Lublin. Inaczej na wschód nie pojedziecie, jak nie zahaczycie o Lublin. To jest moje miejsce zamieszkania. Tam się zatrzymamy. Ja pana poproszę do domu. Moja żona ugości pana jako Ślązaka. A nikt się nie będzie temu dziwował, że kierowca niemiecki, bo wiadomo, że Polacy też służą w wojsku niemieckim”. „No fajno, przyjdź pan jutro”.

A coś mi się zdarzyło, że pomyliłem godziny. „Panie, ja tu cekam i cekam a pana nie widać. Jo już muszę zapuszczać motor”. „A co, mogę siadać?”. „Siadaj pan!”.

Jedziemy Marszałkowską ulicą. Umówiłem się z tą studentką przed firmą „Erze Futra”. Każdy Polak w Warszawie znał firmę „Erze” na Marszałkowskiej. Już naszykowałem jej rozmowę. Ma się przywitać i kiwać głową, kuzynka do nas jedzie. Jak ja mam zostawić ją tukej. Tukej - po śląsku z nim rozmawiam. Jej krewni gdzieś daleko za Lublinem. Choćby do Lublina się dostała, to już tam trafi dalej. Taką sobie mowę przygotowałem.

Jedziemy Marszałkowską, ja go za ramię: „Stop!”. On się przestraszył: „Co chceta?”. „Wybacza, kuzynka moja stoi, chcę się z nią przywitać, tak dawno jej nie widziałem”. „No dobra, ale rychło, rychło”. A jeszcze nie powiedziałem mu, że chcę ją zabrać. Podchodzę do niej: „To pani jest pani Czaplińska?”. „Tak, to ja”. „Na pewno?”. „Na pewno”. „To uściśnijmy się, bo ja powiedziałem szoferowi, że pani jest kuzynką”. Ona już rozumie, o co chodzi. Ja niby taki rozochocony, pogodny, szczęśliwy, że tutaj krewną spotkałem, biorę ją pod pachę i mówię do niego: „Słuchajcie, kuzynka chce właśnie jechać do Lublina. Nie wiem, jak mam prosić, czy by nie można jej było zabrać z nami”. Wszystko załatwione, usiadła w tej budzie. Przejechaliśmy przez punkt kontrolny. Nikt nas nie sprawdził. Przywiozłem ją do Lublina. Kierowcę zaprosiłem, ale nie przyjął zaproszenia, bo późno już było. Proponowałem mu: „Może trochę pieniążków, może co...” „Oj, nie, panie! Jo ni wezmę”. „Może na drogę chociaż trochę jedzenia?”. „No, jak mata przygotowane, to mogę wziąć”. Pożegnałem się z nim serdecznie, on pojechał i więcej się z nim my nie widzieli. A studentkę Jankę Czaplińską ulokowaliśmy u siebie w domu. Mieszkała u nas pół roku. W międzyczasie zdołałem przekonać komisarza energetyki, że przydałaby mu się sekretarka. Wprawdzie miał Niemkę, ale przydałaby mu się taka, która zna polskie stosunki, zna biegle język niemiecki. „Jeśli to moja protegowana, nikogo złego panu nie doradzę, bo pan komisarz ma odpowiedzialne zadanie i nie może pan swojego urzędu narazić na jakieś nieporozumienie”. On już był do mnie przekonany, więc po paru miesiącach, kiedy miał jechać do Krakowa, przychodzę do niego i mówię: „Chciałem panu przedstawić, kuzynka mojej żony, świetnie znająca niemiecki, a to może będzie najlepiej w drodze”. Nam by się w polnische Restaurant przydała [komisarz Drabent często zagadywał łamanym polskim kelnerki, zdradzając, że jest Niemcem i ściągając na obu niebezpieczeństwo]. „Nie musiałby pan zwracać się per «panenka» do kogo innego tylko właśnie do sąsiadki obok pana siedzącej”. Jechaliśmy we trójkę. Po drodze tłumaczyłem: „Panie Drabent, ja mam wobec pana wyrzuty sumienia, teraz je wyłuszczę. Pan ma odpowiedzialne stanowisko. Pan potrzebuje odpowiedzialnych współpracowników, ale takich, na których się pan nie zawiedzie. Jeśli są pana współpracownikami, to muszą wykonywać pana polecenia. Jeśli jest tam z pana punktu widzenia coś cennego, to żeby ona nie poszła z tym na ulicę i nie rozgłosiła całemu światu. I to będzie lojalny pracownik. Bo powiem panu otwarcie, że

pana obecna sekretarka, Niemka już pierwszego dnia, jak ktoś telefonował do pana komisarza, to słyszałem jak ona po niemiecku powiedziała, że tutaj więcej nie będzie mówione po polsku. „Zaprzysiągłem sobie tej babie zemstę. Oczywiście taką zemstę opartą na prawie. Więc chciałem ją trochę odsunąć, a wprowadzić tę znającą niemiecki studentkę architektury”. On się zgodził: „Keine Wort”.

Studentka przydała mi się. Do komisarza przychodzili wojskowi, lotnicy albo inni w sprawach służbowych, na przykład, żeby Związek Elektryfikacyjny przedłużył sieć od jakiegoś miasteczka czy osady do pewnego lasu, tam będzie utajony magazyn benzyny, lotniczy. Lotnisko było jedno pod Chełmem, a drugie pod Krasnymstawem. Benzynę chowali pod lasem.

Jak stała się sekretarką, była podczas rozmów, kiedy wojskowi rozkładali mapy wojskowe. Już myśmy wszystko wiedzieli. Janka miała zawsze bibułę, którą wycierała usta. Jak wychodzili, Janka jedną ze swoich bibulek kładła na sztabówkę i odrysowywała całą sytuację. Oddawała bibułę mnie, a ja Józiovi Kotowskiemu. Nadharc mistrz Polskiej Rzeczypospolitej. Rekordzista przebywania w więzieniach niemieckich.

Data i miejsce nagrania	1986-05-20, Warszawa
Rozmawiał/a	Krystyna Madała
Transkrypcja	Aleksandra Gulińska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"